

# Jerzy Jedlicki

---

## Z dyskusji nad "Listopadowym wieczorem" : znaki puste i pełne

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5, 150-163

---

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Roztrząsania i rozbiory

*Z dyskusji nad „Listopadowym wieczorem”*

**Znaki puste i pełne\***

1

Gdybyśmy wspólnie — w drodze jakiegoś plebiscytu — zabawili się w zestawienie listy książek, które w ostatnim piętnastoleciu wniosły jakiegokolwiek godne uwagi propozycje i refleksje w nasze niezbyt dynamiczne życie ideowe, książek poruszających nasz świat wartości i przywiązań, książek, o których chciało się dyskutować nie tylko w gronie specjalistów — to okazałoby się zapewne, że niepośledni i z biegiem lat rosnący udział miałyby na tej liście eseje literackie obierające sobie za temat wybrane poacie historii narodowej, przede wszystkim epoki porozbiorowej.

Również spośród wielu inicjowanych dyskusji prasowych najwięcej emocji zdawały się budzić te, które dotyczyły spraw historycznej edukacji, tradycji narodowych czy historycznych wyznaczników charakteru narodowego.

Wreszcie i we współczesnej polskiej powieści temat historyczny (choćby i ograniczony chronologicznymi ramami biografii autora) zajmuje miejsce bardzo eksponowane. I nie tylko w sensie ilościowym, także i w tym, że największe wloty artystyczne i intelektualne tej literatury wiążą się z opowieściami o egzotycznych światach dzieciństwa, które nie przetrwały wielkiego potopu: symboliczną wręcz wymowę ma klęska Kuśniewicza w II i III części *Stref*.

Zjawisko to jest godne uwagi i analizy. Wydawać by się bowiem mogło, że światopogląd polskich warstw wykształconych krystalizuje się wokół problematyki mniej lub bardziej zamierzchłej, że nasza świa-

---

\* Szkiełko niniejszy został napisany jako wprowadzenie do dyskusji nad *Listopadowym wieczorem* Andrzeja Kijowskiego (Warszawa 1972), zorganizowanej przez **Zespół** Psychologii Literatury IBL PAN 13 czerwca 1972 r.

domość ideowa nosi na sobie jakąś cechę nostalgiczną, że żyjemy w epoce nowego triumfu historyzmu, że stosunek Polaków do Napoleona i do Aleksandra jest dla nas sprawą donioślejszą w planie intelektualnym niż kształt dzisiaj wykuwanego życia.

Wiemy jednak, że są to pozory. Jest wiele powodów, które sprawiają, że świadomość nasza nie umie się już wyrazić w autentycznych, nie przesłoniętych sporach filozoficznych, socjologicznych, politycznych, nawet w literackich sporach o poetyki. Dysputy wiedną zanim się rozwiną, nie mamy wiele do zaproponowania. Przestaliśmy się kłócić o Boga i socjalizm, o esencję i egzystencję, o wolność i o granice, o konstytucję, o przyszłość cywilizacji, o poezję, o sztukę.

Została historia. Jej ślady w nas, jej znaki dla nas, lub — jak powie Kijowski — „iskry ulatujące w powietrze z nie zagasłych jeszcze popielisk”.

Ta historia, ta nasza współczesność zastępcza, jest coraz częściej obciążana służebnościami, którym ledwie sprostać potrafi. W jej języku, który tylko częściowo jest naszym językiem, usiłujemy zartykułować nasze rozterki. Zartykułować lub zaszyfrować.

Albowiem nasza w druku wyrażona kultura umysłowa jest kulturą pseudonimów i szyfrów. Nie pierwszą na tej ziemi. Opanowaliśmy do perfekcji sztukę wypowiedzania się nie wprost, mówienia parabolami, analogiami, aluzjami. Sztukę mówienia historią, ustami zmarłych. Sztuczne alfabety, zastępcze leksykony dają schronienie temu, co jeszcze ocalało z naszej autentyczności, ale zarazem są tej autentyczności zatrąta i deformacją. Ileż to razy wyrafinowana i manieryczna stylizacja woalem formy przesłania klarowność interpretacyjnej formuły lub prostotę propozycji ideowej! Aż w końcu myśl sama nagina się do wymogów obranej konwencji językowej i scenicznej. Styl organizuje prawdę — ale i paczy.

Do historycznej paraboli uprawianej u nas przez pisarzy tej miary co Jastrun, Zawieyski, Kijowski mam więc stosunek ambiwalentny. Widzę w niej, jak powiedziałem na początku, niezastąpiony dziś środek wyrazu ideowego i formę deklaracji nieskłamanych wyborów moralnych. Eseistyka ta stanowi tym samym niezmiernie cenny składnik naszej anemicznej kultury narodowej, jest czułym i wierzytelnym zapisem wewnętrznych konfliktów najszlachetniejszych przedstawicieli polskiej literatury. Z drugiej przecież strony za tę szczerą emocjonalnego wyrazu płaci się zdeformowaniem obrazu świata. Współczesność zostaje zdeformowana przez historię, historia — przez literaturę. Zdawał sobie z tego sprawę Jerzy Zawieyski, gdy w swoim chaotycznym, rozwlekłym, ale przejmującym szczerym notatniku myśli, jakim jest pierwszy oraz ostatni rozdział *Korzeni*, pisał: „Bo często atrakcyjność pseudonimu, jakim jest temat współczesny, zapożyczający analogicznych lub identycznych treści z przeszłości, ciąży na całości utworu w sposób sztuczny, naciągany, jak z trudem

dopasowane ubranie, które tylko częściami przylega do figury. Do figury historii i do figury współczesności”<sup>1</sup>.

Zawieyski zaadresował te słowa polemicznie — do autorów dzieł z okresu „minionego”, i to przede wszystkim powieści historycznych. Ale czyż nie można by ich w jakiejś mierze odnieść także i do tego tomiku, który napisał po *Korzeniach* i pozostawił nam umierając — do tomu *Pomiędzy plewą i manną*?

Oczywiście, wiele zależy od tego, kto czego i jak szuka w przeszłości: zakorzenienia, wzorów postaw, tradycji ideowej, modelu własnych konfliktów wyboru, analogii czy wreszcie — uniwersalnych i ponadczasowych cech doli człowieczej. Kto czego i jak szuka, jaki typ związków między „dzisiaj” a „wczoraj” narzuca się najsilniej czyjej świadomości — to samo w sobie zdaje się arcyciekawym problemem dla współczesnej krytyki literackiej. W tym miejscu wątku tego rozwinąć niepodobna, niechaj więc tylko, dla zamarkowania problemu, przemówią same tytuły zbiorów lub poszczególnych esejów z kilku ostatnich lat: *Unoszeni historią*, *Uwikłani w historię*, *Korzenie*, *Rodowody niepokornych*, *Apokryf rodzinny*, *Wolność wyboru*, *Pomiędzy perłą i glazem*, *Droga polskiego losu*.

Czyż trzeba mówić, że na tle tego, znakomitego zresztą, zastępu ostatnia książeczka Andrzeja Kijowskiego wyróżnia się i klarownością formuły, i mistrzostwem literackim? Jedno i drugie pospołu sprawia, że przy pierwszej lekturze czytelnik poddaje się bez oporu sugestywności tej narracji i tej refleksji porządkującej. Kijowski, tylekroć w swej twórczości — w swej twórczości wielorodzajowej i wielostylowej, Kijowski nowelista, poeta, filozof, krytyk, Kijowski, który z tygodniowego felietonu, tego najlżejszego autoramentu dziennikarskiego, potrafił uczynić gatunek literacki na miarę Montaigne’a — a więc Kijowski, tylekroć w swej twórczości, w swych ideach sceptyczny, rozdwojony, przekorny wobec własnych sądów, próbujący — choćby *à titre provisoire* — różnych stanowisk i oglądów rzeczy, nagle odezwał się do nas językiem, do jakiego nas nie przyzwyczaił, stylem męskim, twardym, zdecydowanym, twierdzeniami jak siekierą wyrąbanymi w grubym pniu historii.

Porównajcie zresztą *Listopadowy wieczór* z esejami Zawieyskiego. Tam same wahania i wątpliwości: czy rację miał król, czy Rejtan? czy może obaj? czy ich racje były przeciwstawne czy uzupełniające się? byli wrogami czy partnerami? czym mierzyć odpowiedzialność za czyny historyczne? jakie były racje zdrajcy? gdzie szukać punktów oparcia, drogowskazów, kryteriów?

W *Listopadowym wieczorze* inaczej: każdy szkic przynosi nową porcję sądów i uogólnień sformułowanych stanowczo, skrajnie, nawet brawurowo, bez żadnych tam „choć” i „ale”, bez aptekarskiego wyważania racji. To właśnie ten ton, ta autorska pewność siebie,

<sup>1</sup> J. Zawieyski: *Korzenie*. Warszawa 1969, s. 52.

ostre pointy — narzucają czytającemu z całą sugestywnością określoną interpretację polskiej przygody romantycznej w polityce. I to właśnie ten ton prowokuje historyka — w drugim czytaniu, gdy już trochę wyzwolił się spod sugestii — do bezustannego sprzeciwu.

Ale o tym za chwilę. Na razie pozostajmy jeszcze przy owej sprawie najważniejszej: jaki typ związków między współczesnością a przeszłością obchodzi Kijowskiego? *Expressis verbis* udziela na to pytanie odpowiedzi najlepszy ze wszystkich 11 szkiców *Listopadowego wieczoru*, zatytułowany *Podręcznik wielkości*. Szkic o tym, jak młodzi w pierwszej ćwierci XIX wieku czytali *Żywoty* Plutarcha. I nagle, wedle najlepszych reguł intelektualnego eseju, przeświecającego historyczny szczegół błyskiem wielkiego uogólnienia, z tej zdawałoby się przyczynkowej materii wysnute zostały cztery znakomite strony o dawnym i dzisiejszym widzeniu historii rodu ludzkiego. Chciałoby się je cytować w całości, ale musimy wybrać tezy najbardziej dobitne:

„W naszym, to jest współczesnym, ujęciu historii dominuje zasada zmienności, niepowtarzalności, nieporównywalności. Mówimy, że ludzi tworzą okoliczności i warunki, że nie tylko zmienne są charaktery, ale nawet pojęcie charakteru zmienia się w czasie, że nie to samo jest cnotą w jednym stuleciu, co bywało w poprzednim, że o wartościach ludzkich decyduje ustrój polityczno-gospodarczy, w którym ludzie żyją, a ten ustrój znów zależy od stosunków produkcyjnych. Nie umiemy porównywać ze sobą dwóch epok, dwóch państw, dwóch ustrojów czy dwóch bohaterów historycznych, ponieważ historia jest dla nas realizacją naoczną prawdy o względności wszystkich miar, ocen, wartości. Nie umiemy inaczej myśleć. Tymczasem na takim porównaniu powstała cała olbrzymia kultura, która wcale nie zamyka się w granicach czasowych historii Rzymu. Rzym przyrównał się do Grecji, Rzymianie uznali się za spadkobierców Grecji. Powstała paralelna drabina wartości, paralelna mitologia, paralelna filozofia polityczna i moralna” (s. 81).

I dalej:

„Paralelizm historyczny stworzył jedność kulturalną Europy i utrzymał się aż do końca XIX wieku. Żyjemy w pierwszym stuleciu poczucia względności historycznej, w pierwszym stuleciu pojmowania historii jako rzeczywistości niejednorodnej, w pierwszym stuleciu nieklasycznej filozofii historii” (s. 82—83).

I jeszcze:

„(...) dla nich [romantyków] historia wciąż jeszcze była rzeczywistością jednorodną, powtarzającą się cyklicznie, to znaczy, że była ona dla nich polem szukania ideału; to znaczy, że cnoty ludzkie trwały w niej niezmiennie, czyste, wiecznie aktualne; że słowa nie zmieniały wartości i znaczenia; że ponad wiekami i ponad zmiennymi formami ludzkiego bytu wznosił się w ich oczach wciąż ten sam, czysty, wszystkim widzialny łuk ludzkich aspiracji, łuk ludzkiego losu, o którym powiadał Plutarch w swych *Moralinach*, że obejmuje swą orbitą «wszystkie rzeczy, które się zmieniają od nieskończoności do nieskończoności»” (s. 84—85).

Trudno piękniej wyrazić to przeciwstawienie. Mnie także sprawa ta nurtuje od dawna. Podobnie jak Andrzej Kijowski żywię przekonanie, że postromantyczny historyzm — przy całym należnym respekcie dla jego osiągnięć metodologicznych — drastycznie zubożył wizję świata ludzkiego. Nie ma dziś oczywiście powrotu do owego naiwnego w swoim dydaktyzmie klasycznego inwentarza niezmiennych wzorów osobowych i ustrojowych. Ale piszę się obiema rękami sojusznikiem w projekcie rewaloryzacji wizji — nazwijmy ją tak — neoklasycznej, to jest takiej, która przyznając nieodparty fakt bezustannej zmienności sposobów bytowania ludzkiego i, co za tym idzie, fakt rodzenia się coraz to nowych i żadnej analogii w przeszłości nie mających problemów przystosowawczych, nie traciłaby zarazem z oczu ponadpokowej tożsamości podstawowych sytuacji egzystencjalnych i tożsamości dokonywanych w nich aktów wyboru — owego „łuku ludzkiego losu”.

Myślę, że przytoczone zdania Kijowskiego można uznać za objaśnienie zamysłu, jaki przyświecał autorowi *Listopadowego wieczoru*. Chodziłoby zatem o tropienie w historii uniwersaliów humanistycznych, konkretnie zaś o odczytanie w dziejach pokolenia Mochnackiego takich postaw, ideałów i reakcji na zastaną rzeczywistość, które ujawniałyby swoją *typologiczną* tożsamość z wieloma innymi historycznie poświadczonymi postawami, ideałami i reakcjami, w tym także z naszymi własnymi.

Jeżeli tak, to zamysł akceptowałbym z najchętniejszym przytwierdzeniem, ale w wykonaniu dopatrywałbym się skazy istotnej. Zdaje mi się ono bowiem zdeformowane tą dwoistością funkcji eseju historycznego, o której mówiłem na początku. Rzecz w tym, że nie wążąc się porównywać ze sobą jednako autentycznych rzeczywistości różnych historycznych czasów, by wykryć wspólne im typy zjawisk i zachowań, zmuszamy jedną z tych rzeczywistości do pełnienia naraz podwójnej funkcji: reprezentowania samej siebie i kryptonimizowania innej.

## 2

„Zgarnął na jeden stos wszystkie rysunki. Wygarnął z szuflad mapy zaborów, okupacji, ofensyw, arkusze rachunkowe, kartki wydzierane z zeszytów z tabelami ligowych rozgrywek, z flagami państw, ze swastykami, orłami, gwiazdami, pakował to wszystko do kosza wywleczonego z kąta, ugniał trzęsącymi się z pasji rękami cały ten śmietnik form pustych, niepotrzebnych, cały ten świat bezrozumny, wszystkie szyfry, za pomocą których dziecko szukało formuły miłości”.

Cytuję *Szyfry* Andrzeja Kijowskiego, jedno z najpiękniejszych, jedno z najbardziej przejmujących, jedno z najbardziej niesprawiedli-

wych opowiadań, jakie zostało napisane w powojennej polskiej prozie:

„— Tutaj siedział — powiedział do siebie. Oni tam układali ulotki, dzielili gazetki, dawali sobie instrukcje, potem pili wódkę, potem patrzyli po sobie, myśląc, kto kogo zdradza, kto kogo opuszcza (...) — Wszyscy jesteśmy postaciami z rysunków Jędrka (...) rysunki Jędrka — mówił (...) był to świat form, świat bez miłości, świat w którym *wszystko jedno kogo się zabija*, kogo pożąda, każda wartość jest zamienna na swoje własne przeciwieństwo, jest to kult słowa, gestu, stroju, symbolu, znaku, jest to gramatyka mowy, która jeszcze nie ma sensu. (...) — Kto go zabił? Kruk? Gryf? Ptak czy zwierzę z mitologii wojny? To symbole. Kto go zabił? — Ja — powiedział i przedarł kartkę. — My — dodał — *kłamcy, twórcy pustych znaków*”<sup>2</sup>.

Od wydrukowania tych stron minęły niespełna trzy lata, kiedy — w roku 1967 — ich autor zaczął w jednym z pism młodzieżowych ogłaszać serię szkiców historycznych, tych samych właśnie, które po następnych pięciu latach złożyły się (z dodaniem dwóch wówczas brakujących) na *Listopadowy wieczór*. Czy nie powinniśmy spojrzeć na te szkice jako na książkę o młodzieży dla młodzieży? Bo spojrzcie: puste znaki się wypełniły, gramatyka gestów i symboli nabrała sensu. Oto opowieść o dawnych *poprzednikach* tych, co „układali ulotki, dzielili gazetki, dawali sobie instrukcje”. Opowieść dla *następców*.

Było raz w Europie małe państewko zwane Królestwem Polskim. Śmieszne, wyblakłe wspomnienie po Polsce dawnej, co w niewoli usnęła (s. 67), ocknęła się na chwilę obudzona przez Napoleona, by po paru latach wysilen zapaść znowu w letarg głęboki. Było to państwo łękkich starców (s. 46), biurokratów i służalców, które dawnych bohaterów zmieniało w pokornych czynowników (s. 45). „Im kto wspanialszą miał przeszłość za sobą, im kto był bardziej skompromitowany politycznie przez sprzyjanie Napoleonowi lub przez udział w wojnie przeciw Rosji czy w insurekcji, tym gorliwiej teraz dowodził swej wierności dla dynastii Romanowów...” (s. 30).

Autonomia i konstytucyjny ustrój tego karykaturalnego państewka „były farsą ponurą i krwawą” (s. 31). Panowała tu zatęchła atmosfera, prowincjonalny marazm, muda i bezczynność. Upadała kultura, nie było krytyki literackiej. Kto żyw opuszczał Warszawę, kraj (s. 46). Naród był skarłały, stał się „bezkształtnym tłumem, mrowiskiem, łatwym do zgnięcia lub pokierowania” (s. 34). Pokochał owych despotycznych królów, zaufał im, bo republiki nie pojmował jako tworu zbyt abstrakcyjnego (s. 20). „Nikt tu nie myślał o wolności, bo już jej instynkt zamierał w narodzie podbitym i oszukany” (s. 35).

W tym państwie przedwczesnych starców byli jednak i młodzi. Uro-

<sup>2</sup> A. Kijowski: *Pseudonimy*. Warszawa 1964, s. 186—187, 189, 194. Podkreślenia — J. J.

dzeni w niewoli, okuci w powiciu, jedyni czuli swą niewolę i swe okowy. Dusili się w tej atmosferze, w tej ciasnocie życia i ideałów, wśród szpicli i donosicieli. Szlachetni i dziecinni, czytali Plutarcha i *Zbójców* Schillera i chcieli jak najszybciej stać się mężczyznami, przeżyć życie szybko, intensywnie, spalić się w działaniu. Młodzież w całej Europie po raz pierwszy występowała wtedy na scenę historii, więc i oni stali się pierwszym polskim pokoleniem młodych buntowników, spiskowców, rewolucjonistów. Nie mieli za sobą historii, ale grali o nieśmiertelność (s. 28), wierzyli w swoje siły i racje (s. 7).

„Pokolenie romantyczne miało szczęście i nieszczęście oglądać dawną tradycję w karykaturze, a przyszłość w kształtach tak dziecinnych, niedojrzałych, do jakich stworzenia samo było zdolne” (s. 30). Czuli, jak przed nimi młodzi romantycy niemieccy, że duch epoki dotknął ich ramion. Ciężko im było na sercu, gdy nie widzieli już teraz spadających łańcuchów: „Ale wciąż to samo błędne koło: aby zrodziła się wolna myśl, trzeba wolności, aby zrodziła się wolność, trzeba wolnej myśli. Oto węzeł, który trzeba przeciąć (...)” (s. 122 — cyt. z listu Novalisa).

Przecieli go bagnetem. Gdy ruch wolnościowy w Niemczech został zdławiony, wszczepli go na nowo dekabryści. Po dekabrystach belwederczycy. „Jedno w tym wszystkim zdumiewa: łatwość, z jaką ci ludzie dysponowali życiem innych” (s. 13). Ale to oni tworzyli historię XIX wieku: ta młodzież „obłąkana, niedojrzała, okrutna dla siebie i dla tych, którym chciała nieść wolność” (s. 14).

Jaki miał być kształt tej wolności, tego świata bez oków, tego już nie wiedzieli. Jak bierny lud, tak i oni bali się nie znanej Republiki. Pragnęli za wszelką cenę znaleźć Człowieka, interrexę, dyktatora, który zdejmie z nich odpowiedzialność za ciąg dalszy historii. Byli gotowi oddać mu się, stać się jego gwardią, jego dziarskimi chłopcami (s. 23).

„Kiedy w listopadowy wieczór 1830 roku gromadka polskich romantyków biegła przez ogród łaazienkowski do pałacu belwederskiego, aby zabić brata cesarskiego, była przed nią ciemność historyczna, w której kłębiły się wszystkie widma, jakie nawiedzić miały Polskę i Europę po wymordowaniu czy wypędzeniu królów. Powtarzająca się w całej poezji romantycznej obsesja otchłani, przepaści wypełnionej chmurami, powtarzający się w niej temat skoku w przepaść, lotu czy szalonego pędu przez pustynię i mrok, który w niej panuje, wszystko to nie jest tylko nastrojem i tłem, lecz obrazem świadomości, obrazem chaosu, co w głowach panował” (s. 25).

Były wszelako w tych ludziach ukryte jeszcze jakieś inne, i nie całkiem z tamtymi zgodne potencjały duchowe. Oddychali mitem napoleońskim, ale jakim mitem? „Dla całego pokolenia romantycznego Bonaparte był po prostu młodzieńcem, który sięgnął po władzę. Jak o żołnierzach napoleońskich mówiono, że każdy z nich nosi bu-



ławę marszałkowską w tornistrze, tak *każdy* ambitny człowiek w epoce ponapoleońskiej mówił sobie, że ma koronę cesarką w biurku” (s. 71, 72; podkr. — J. J.).

Maurycy był człowiekiem ambitnym. Miał więc koronę cesarską w biurku, a na biurku Makiawela, od którego uczył się sztuki politycznego myślenia i sztuki pisania (s. 45, 46). Chaos, co panował w głowach jego rówieśnych i towarzyszy, w jego głowie ułożył się w męski ład. „Nie wiadomo, co by z tego wyniknęło, gdyby rzeczywiście objął władzę. Na pewno wtedy nie napisałby swej książki, która dla tych, co ją czytali, jest źródłem nieustannej pociechy, iż możliwa jest przecież w polityce i w literaturze inteligencja absolutna, to jest wolna od ograniczeń swego czasu, układająca wszystkie jego aberacje w jasne formuły” (s. 116). Od Makiawela nauczył się cynizmem. Ale był to cynizm w służbie wolności, dla której odzyskania „wszystkie sposoby są dobre, byle były skuteczne. Wyraża się w tym *cała* nowoczesna mądrość polityczna” (s. 117; podkr. — J. J.). Obowiązuje tylko wierność celowi ostatecznemu: tym zaś było rozbicie Świętego Przymierza, „uwolnienie Polski od rosyjskiej dominacji, związanie losu Polski z losami zachodniej Europy” (s. 115).

Z tym chaosem w głowach czy z tym przecuciem męskiego ładu zebrali się w ten wieczór listopadowy, kiedy „w Warszawie trwał jeszcze wiek osiemnasty”. Nie było wszystko jedno, kogo się zabija. „Jeśli ta garstka poetów, krytyków literackich, dziennikarzy odważy się przelać krew cesarską, ruszy za nimi wojsko, porwie lud, zmusi do działania arystokrację i mieszczaństwo. Odważyli się: z okrzykiem: «śmierć tyranom!» wpadli na dziedzińiec pałacowy ... W Warszawie zaczął się wiek dziewiętnasty. Polacy przyłączyli się do stu-letniej wojny narodów, z której wyłoniła się nowoczesna Europa” (s. 35).

Nie trzeba za Karolem Moorem modlić się o zmiłowanie dla chłopców, którzy chcieli uprzedzić pomstę opatrności. To pokolenie — skazane, jak tyle innych, na zagładę — miało wspaniałą młodość. I dzięki nim wspaniała, choć krótką młodość miała nowa Polska, która „w ciągu jedenastu miesięcy (...) przeżyła to, co Francja w ciągu dziesięciu lat z górą od zwołania Stanów Generalnych do 18 brumaire’a, i to, co Rosja w 1917 roku: rząd tymczasowy, dyktaturę legalną, sejmowładztwo, pucz wojskowy i terror rewolucyjny” (s. 107). To były „konwulsje porodowe demokracji nowoczesnej” i przyłączenie Polski do Europy.

Tak więc tajne związki „były szkołą myślenia, (...) szkołą współżycia społecznego i działania organizacyjnego, one sprawiły, że młodość dojrzewała wtedy tak szybko i że na wielką potem żyła skalę, tworząc świetne, bogate, dramatyczne biografie. To na ich miarę powstawała potem literatura” (s. 103—104). Ta literatura, która zrehabilituje politykę, wyidealizuje ludzkie ukłonne dążenia i czynności, skoryguje obłudne czyny (s. 15). Literatura, na której arcydzieła skła-

da się napięcie emocji, woli i aktywności całego społeczeństwa. Literatura — system niepustych znaków.

Piękna, dumna, porywająca baśń. Ale któż w baśniach stawia daty?

### 3

Było raz w Europie małe państewko zwane Królestwem Polskim. Istniało naprawdę i wszystko w nim wyglądało zupełnie inaczej. Czuje to Kijowski, bo raz po raz sam ze sobą popada w sprzeczność: albo historia kłóci się z alegorią, albo znów dwa baśniowe schematy nacierają jeden na drugi.

W szkicu o Lelewelu czytamy o Warszawie przedpowstaniowej: „Mnożyły się konflikty między sejmem, wiernym konstytucji, a rządem, posłusznym zawsze dyrektywom dworu. Lelewel, wybrany posłem do zbuntowanego sejmiku, stał się w nim filarem skrajnej opozycji” (s. 88). Dziwne to państwo łekliwych starców, w którym najwyższa reprezentacja narodowa, nie z gołowąsów przecież i nie z podchorążych złożona, zbuntowana jest przeciw dworowi i rządowi. Oczywiście duża przesada — tym razem w drugą stronę: daleko do tego, aby sejm majowy roku 1830 (ten, do którego po raz pierwszy wszedł Lelewel) wolno było nazwać zbuntowanym. Izba nie była zbuntowana jeszcze nawet w grudniu. Naprawdę zbuntowała się dopiero 25 stycznia 1831 roku, gdy za Janem Ledóchowskim odchrzyknęła jednym głosem: „Nie ma Mikołaja!” Ale nie jest przesadą, że na sejmach Królestwa walczyły się reakcyjne rządowe projekty ustaw i zmian kodeksowych. Nie jest przesadą, że trzecia część izby poselskiej potrafiła zażądać postawienia ministra oświaty w stan oskarżenia przed Trybunałem Stanu za kontrasygnowanie dekretu królewskiego o wprowadzeniu cenzury druków.

W tym państwie słuźalców senatorzy składający sąd sejmowy — senatorzy, do których Mochnacki odzywał się w nielegalnej broszurze per „czcigodni starcy” — z wyjątkiem dwóch odszczepieńców, uznali przywódców tajnego Towarzystwa Patriotycznego za niewinnych zarzucanej im zbrodni stanu i nie ulegli się szantaży ani gniewu monarchy. W stolicy tego państwa tłum *jak mrówki drobny* rósł w gęstwę dzień po dniu przed pałacem Krasińskich w czasie procesu. W tym państwie pokornych czynowników minister Lubecki na czterech kolejnych posiedzeniach Rady Administracyjnej odpierał żądanie Nowosilcowa, by rząd potępił wyrok sądu sejmowego — i wygrał.

W tym państwie dwaj bracia, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy — ojcowie założyciele polskiego plemienia niepokornych, stworzyli i na dużą skalę upowszechnili nowy i na wskroś europejski sposób działania bezkrwawego, ale i bezkompromisowego, w obronie wol-

ności, prawa i interesu narodowego. Ten wzór hartu moralnego, cywilnej odwagi, godności połączonej z kunsztem politycznej taktyki stwarzał wielką szansę wyjścia poza przekłętą polską alternatywę ugody — i kamieni na szaniec. Rzecz w tym, że w tej konstytucyjnej „farsie ponurej i krwawej” szansa ta była jeszcze realna, czego dowodem organizująca się wokół Niemojowskich i na ich platformie coraz bardziej spójna solidarność szlachty i inteligencji, i czego dowodem odnoszone przez opozycję sukcesy.

To już nie była saska szlachta, to już był inny naród, bardziej wcielony do Europy niż przedtem i niż potem. To prawda, że ciasne były granice, że były miliony „braci odłączonych”, że ciasna była wolność i ciasne więzienie u karmelitów, że była cenzura i pięć tajnych policji. Z tym wszystkim był to nie najbardziej zniewolony, lecz przeciwnie — najbardziej wolny skrawek Polski, dzielnica, w której kultura narodowa miała warunki rozwoju nie tylko lepsze niż na Litwie i Rusi, ale także lepsze niż w Galicji i zaborze pruskim. I była to także nie najgorsza szkoła polityki i — pod Lubeckim — nie najpodlejsza szkoła gospodarowania.

Rozumiem racje tych, których aspiracjom i marzeniom było tu za ciasno. Rozumiem myśl Mochneckiego, gdy po powstaniu powtarzał, że nie konstytucja, lecz *ziemia* była naczelną sprawą polskiego bytu. Mogę się zgodzić z Jerzym Łojkiem, który — idąc Mochneckiego tropem — dowodzi, iż powstanie listopadowe miało wszelkie szanse zwycięstwa i że szanse te zaprzepaszczone zostały przez tych, którzy w nie uwierzyć nie chcieli, a nie wierząc, z każdym dniem je pomniejszali<sup>3</sup>. Ale nie potrafisz się zgodzić na sprowadzanie do małości, tchórzostwa i oportunistycznego racji tych wszystkich, którzy z rozpaczą patrzyli, jak wali się w gruzy budowla przez nich wzniesiona i przez nich broniona, ponieważ siedmiu młodych ludzi podjęło decyzję otwarcia nowego rozdziału w historii narodu. To nieprawda, że historia nasza pozostawiała wciąż tylko wybór pomiędzy skrajnościami: pomiędzy lotem ponad poziomy a płazami w skorupie, pomiędzy plewą i mianą, pomiędzy upodleniem a tragiczną wielkością, pomiędzy zamarciem instynktu wolności a walką o wolność do ostatniej kropli krwi — zawsze w końcu cudzej, bo na to, aby się wolnością cieszyć, trzeba część kropel w swoich żyłach zachować.

Jeżeli to romantyzm stworzył owo biegunowe napięcie między ideałem a płaską rzeczywistością, owo wieczne „wszystko albo nic”, to wówczas słuszne są oskarżenia rzucone romantikom za fatalny wpływ na edukację polityczną Polaków. Ale osobiście nie wydaje mi się, aby literatura romantyczna ponosiła za to poważniejszą odpowiedzialność. Nie wydaje mi się nawet, aby rację miał Kijowski pisząc, że ta literatura *ex post* rehabilitowała i uwznioślała w swych arcy-

<sup>3</sup> J. Łojek: *Szansa powstania listopadowego — rozważania historyczne*. Warszawa 1968.

dzielach porywy spiskowców i powstańców. Gdzie — poza *Odą do młodości*, poza pieśnią Ehrenberga, poza Berwińskim, którego słusznie Maria Janion nazywa romantycznym jakobinem<sup>4</sup> — gdzie są te buntownicze wiersze, gdzie są te rzekome pobudki do czynu zbrojnego? Zawieyski dziwi się, że Kościuszko „nie porwał wyobraźni żadnego z wielkich poetów romantycznych tak żądnych bohaterstwa i kultu «człowieka czynu»”<sup>5</sup>. Ba! czemuż tylko Kościuszko? Czy bohaterem tej poezji stał się Łukasieński lub Krzyżanowski, Nabelak lub Mochnacki? Inni są jej bohaterowie: jeśli zamachowiec, to ten, co bez przytomności padł przed sypialnią cara; jeśli więźniowie, to niewinni; jeśli konfederaci, to hamletyczni; jeśli powstańcy, to na zesłaniu; jeśli Emilia Plater, to na łożu śmierci; jeśli żołnierz, to wysadzający się w powietrze z ostatnią bronioną redutą; jeśli hrabia, to przerażony dzikością rewolucji i ginący za przegraną sprawę. Gdzie są te polskie książki zbójckie, gdzie jest ten nasz własny romantyczny buntownik? Nie ma powodu ani chwalić, ani oskarżać romantyzmu za heroiczną i krwawą historię polską. Jest to — z kilkoma wyjątkami — poezja martyrologii i nadziei odkupienia przez ofiarę, poezja „smutnych pól — rycerzy — żywych”, a nie harda poezja rebelii i ataku. Związek między biografiami polskich rewolucjonistów, tych co się odważyli, a literaturą romantyczną zdaje mi się dużo luźniejszy i odleglejszy niż się to u nas przyjęło sądzić. A jeśli co pewien czas, w jakiś wieczór listopadowy czy styczniowy — tak zresztą jak i w Irlandii lub Grecji — cała mądrość polityczna sprowadzała się do jednego pytania: strzelać czy nie strzelać? — to źródło tego tkwiło, jak sądzę, nie w żadnym romantyzmie i nie w żarliwości tego lub innego pokolenia, lecz w fakcie, że nigdy tu nie było czasu na to, aby się wyrobiły umiejętności walki z przemocą środkami innymi i bardziej skutecznymi niż bagniet lub myśliwska dwururka. Ale tych innych środków, tej zaprzepaszczonej szansy nie powstania, lecz rzetelnej edukacji politycznej narodu nie odnajdzie się odczytując historię poprzez Mochnackiego, aczkolwiek jego książka jest rzeczywiście dziełem do dziś porywającym.

I jeszcze jedno. Pisze Kijowski, że w czasach Kongresowego Królestwa kto żyw opuszczał Warszawę i kraj. Niewielu w takim razie było żywych, jeśli zważyć, że jest to jeden z najświetniejszych okresów rozwoju miasta i że jest to w dziejach Polski od Sejmu Czteroletniego aż po dzień dzisiejszy jedyne unikalne piętnastolecie, w którym nie ma w ogóle emigracji politycznej.

Była wtedy Warszawa, powtarzam, blisko Europy. Żyła pod europejskim prawem. Wszczepiała w siebie zachodnią cywilizację, idee liberalne, literaturę i sztukę. Żyła w wieku dziewiętnastym, takim jaki

<sup>4</sup> M. Janion: *Romantyczni jakobini. Dembowski — Berwiński*. „Pamiętnik Literacki” 1971 z. 2, s. 3—30.

<sup>5</sup> J. Zawieyski: *Pomiędzy plewą i mianą*. Warszawa 1971, s. 138.

był i jaki być mógł. Nie musieli też Polacy przyłączać się dopiero „do stuletniej wojny narodów, z której wyłoniła się nowoczesna Europa”, bo już w niej brali udział w roku 1792, 1794, w legionach, w 1806, 1809, 1812 i 1813. Także rewolucyjne spiski młodych nie były tu pozbawione wcześniejszej i wcale bogatej historii, a republikańskie przywiązania w tym właśnie kraju zakorzenione były silniej chyba niż gdziekolwiek w Europie, poza może Szwajcarią. Insurekcją kościuszkowska nie zadała sobie nawet trudu, aby zdjąć królowi koronę z głowy, ale po prostu odsunęła go na bok jak nieważny przedmiot. I jeżeli kiedy, to wtedy już właśnie Polska przeżyła w kilka miesięcy fazy demokratycznego przełomu: co prawda połowicznego, ale też szczęśliwie obywającego się bez gilotyn. Nie sposób też zrozumieć do końca dzieje wewnętrzne powstania listopadowego zapominając, jak silna i żywa była w tym kraju tradycja kościuszkowska. Nie interrex a wszak szukała młodzież i cała patriotyczna Warszawa, błagając Chłopickiego o objęcie dyktatury, ale — jakże w tym wypadku naiwnie — nowego Naczelnika, który poprowadzi naród do walki.

Pod żadnym więc z tych względów Listopad nie stanowił przełomu tak zasadniczego, jak by to wynikało z książki Kijowskiego. Zupełnie przełomowe dla polskich losów były natomiast skutki klęski. Więcej niż połowa Polski została oderwana i odizolowana od Europy na długie lata. Teraz dopiero zapanowały marazm, beczynność i nuda, służalstwo i najgorsza biurokracja. Teraz dopiero kto żyw opuścił Warszawę i Kraj, pozostawiając za sobą kulturalną i polityczną pustynię. Teraz dojrzewać tu będą pokolenia młodych starców, którzy — poza nieliczną garstką — ani pisać nie śmiały pod bacznym okiem Paskiewicza. To będzie ich wiek XIX, ich młodość, ich zmarnowane życie, którego im nie opromieni żadna poezja i żadna historiozofia.

\* \* \*

Miałem tu zagać dyskusję, a nie odczytywać recenzję i dlatego przysięgałem sobie nie wejść w rolę pedanta czepiającego się poszczególnych twierdzeń. Powiem więc tylko ogólnie, ale biorąc odpowiedzialność za te słowa, że jest w tej książeczce — gdyby ją poddać normalnej historycznej krytyce — bardzo wiele omyłek rzeczowych, wiele sprzeczności wewnętrznych, a także uogólnień i sądów pochopnych, które w żaden sposób nie potrafią się obronić. W pewnej mierze wynika to zapewne stąd, że w swej warstwie erudycyjnej *Listopadowy wieczór* opiera się głównie na historycznej klasyce, nie biorąc pod uwagę ustaleń historiografii powojennej, na przykład prac Łepkowskiego, Zajewskiego i wielu innych o dziejach wewnętrznych powstania, prac Walickiego i Sikory o mesjanizmie polskim, prac Szackiego o Mochnackim, czy Witkowskiej o filoma-

tach. Stąd także niektóre pretensje zgłaszane przez Kijowskiego pod adresem historyków opierają się na nieporozumieniu<sup>6</sup>.

Ale to wszystko wydaje mi się całkowicie drugorzędne. Andrzej Kijowski nie jest historykiem i być nim nie musi. Jest pisarzem: jednym z najbardziej współczesnych pisarzy polskich, którego słowo ma dla nas ciężar naszych własnych przeżyć; w jego monologach, powieściach i przypowieściach odnajdujemy bez trudu rozterki wspólnie przeżytego czasu. I dlatego uważam, że mówiąc o *Listopadowym wieczorze* trzeba dyskutować o generaliach: o tym, czym są dla nas nasze rodowody, nasze korzenie, nasze dzieje.

Nasze dzieje? W czarownej poetyckiej baśni polskiej, skrzącej się filozoficznym żartem, ironią i przekorą, chłopczyk-król taki czyni wykład żołnierzowi na biwaku: „(...) nie ma dziejów — jest opowieść, co innej opowieści przeczy, a ta poprzedniej kłam zadaje, by znów z kolei nowej ulec, jeszcze piękniejszej i ciekawszej, i jeszcze lepiej zrozumiałej, bo nowszą mową powiedzianej. Historia jest powieści masą, z ich stylu swoje życie bierze. (...) To fikcji duch, duch wyobrażeń, buntu i walki, gry, komedii, człowieczy, wilczy duch zachłanny, co znaczeń, a nie prawdy szuka, znaczenia tworzy i nadaje, padlinę faktów w złoto zmienia, w trwalsze nad prawdę złoto stylu!”<sup>7</sup>

<sup>6</sup> „Historycy — zdaniem Kijowskiego — popełniają zawsze jeden i ten sam błąd: myślą, że historia jest całą substancją życia i że wypełnia ona cały czas ludzki”; skupiają więc swą uwagę na okresach gwałtownych przemian, zaś „okresy zamierającego ruchu historycznego przepadają zupełnie z pola obserwacji historyków (...)” (s. 72—73). Nie trzeba dowodzić, że teza ta — sformułowana, jak wiele innych w tej książce, z użyciem wielkich kwantyfikatorów „zawsze”, „zupełnie” — jest bezzasadna w odniesieniu nie tylko do historiografii najnowszej, ale nawet do tej z czasów Korzona i Smoleńskiego. Nie jest też poważne twierdzenie, jakoby *Historii powstania narodu polskiego* nie wznawiało się u nas dlatego, iż „autorzy piszący o Mochnackim nie mogą się zdecydować kim on właściwie był: rewolucjonistą, konserwatystą, terrorystą czy po prostu genialnym graczem” (s. 115). Pretensje Kijowskiego są jednak niczym w porównaniu z szarżą, jaką przypuścił Kazimierz Wyka w recenzji z *Listopadowego wieczoru* (*Wieczór u Mochnackiego*, „Literatura” nr 12, 4 V 1972). „Jest rzeczą wręcz zawstydzającą — pisze Wyka — że nowsza historiografia polska w ogóle się nie zdobyła na odwagę, by sięgnąć do postaci Maurycego Mochnackiego, by ją uczynić tematem badania i oceny. Podobnie zręczną jest z Ludwikiem Mierosławskim, kontynuatorem Mochnackiego. (...) Panowie historycy, czy nie pora się ocknąć? trochę spersonalizować?!” Po czym okazuje się, że „tym większa zasługa Kijowskiego, że sięgnął do studni zasypanej tylko przez niepamięć i niedbałość (...)” Na tę gromką tyradę odpowiedzieć można tylko, że jest rzeczą wręcz zawstydzającą, gdy historyk literatury luki we własnej bibliotece uznaje za luki w piśmiennictwie naukowym.

<sup>7</sup> A. Kijowski: *Grenadier-król*, Warszawa 1972, s. 88—89.

Czyżby *Listopadowy wieczór* — choć w tak odmiennym napisany stylu — był jednak suplementem do *Grenadiera-króla*?

Jerzy Jedlicki

### W oczach historyka

To chyba Stendhal powiedział ongiś: „Jeżeli nie jestem jasny, cały mój świat unicestwia się”. Eseje Andrzeja Kijowskiego są klarowne, zwarte i logiczne. Dotykają najczulszego miejsca, w którym historiozofia i polityka styka się z literaturą, tak jak to rzeczywiście było w Królestwie Polskim po kongresie wiedeńskim. O tym związku już bez skrępowania i jakichkolwiek osłonek pisać będą po nocy 29 listopada 1830 Jan Ludwik Żukowski i Maurycy Mochnecki. Kijowski w podskórnym, lecz pełnym napięć fermentie romantyków widzi nie tylko bunt młodego pokolenia przeciw zastojowi i marazmowi. Dostrzega również nosicieli postępu cywilizacyjnego, którzy wprowadzili wiek XIX na ziemie polskie.

Historyk musi być świadom odrębnych praw eseistyki, korzystającej swobodnie z szokujących nawet skojarzeń, refleksji czy analogii, tak niechętnie widzianych w rozprawach naukowych. Spojrzenie wyborczego krytyka przynosi niekiedy nowe oświetlenie spraw tylko pozornie znanych i odsłania obszary nie tknięte przez historyków. Aby nie pozostać gołosłownym, powołam się na esej Kijowskiego o wpływie *Żywotów sławnych mężów* Plutarcha na mentalność młodych romantyków. Interpretowali je w duchu bardzo republikańskim. Nie tak dawno historyk francuski J. Tulard zwrócił uwagę na łamach „Revue de l'Institut Napoléon” (1969 nr 111), że dla skrajnych republikańców francuskich Napoleon stał się tyranem w sensie Plutarchowym, dlatego powinien zostać zgładzony w drodze spisku, co będzie nie tylko wymiarem sprawiedliwości, lecz wyrazem cnoty obywatelskiej. Równie odkrywcze, zapładniające są uwagi Kijowskiego o wpływie pism Machiavellego na naszych romantyków. Wolno tu chyba mówić o Maurycym Mochneckim, który mógł posługiwać się tłumaczeniem francuskim. Bagaż bowiem intelektualny tych, którzy zainicjowali *czyn*, a więc Szkoły Podchorążych, był więcej niż skromny. Wielki książe Konstanty nie znosił czytających i myślących oficerów, nawet jeżeli ich lekturą była francuska prasa konserwatywna czy klerykalna. Szef sztabu Chłopickiego, gen. Józef Mroziński, który znał bezpośrednio Piotra Wysockiego i Józefa Zaliwskiego, podkreśla dobitnie w swoich pamiętnikach niski poziom intelektualny twórców Sprzysiężenia. Pisze, że nie znali francuskiego, a Zaliwski kiepsko nawet pisał ortograficznie po polsku. Czytali co najwyżej — i to po kryjomu — „Kuriera Warszawskiego” lub „Gazetę Warszawską”. Naturalnie inny był poziom grupy „cywilów”, co trafnie zauważył Andrzej Kijowski.